

KONTYNUACJA „PRZEMINĘŁO Z WIATREM”



DONALD MCCAIG

RHETT BUTLER

ALBATROS

Tytuł oryginału:
RHETT BUTLER'S PEOPLE
Sequel to Margaret Mitchell's GONE WITH THE WIND

Copyright © Stephens Mitchell Trusts 2007
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017
Polish translation copyright © Jakub Wasilewski i Paweł Wasilewski 2026
All rights reserved

Redakcja: Barbara Nowak
Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek
Ilustracja na okładce: Anna Halarewicz

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



**WYDAWNICTWO
ALBATROS**

Rozdział 1

Sprawy honorowe

Dwanaście lat przed wojną, godzinę przed wschodem słońca przez Nizinę Nadmorską Karoliny Południowej mknął powóz. Na drodze biegnącej wzdłuż rzeki Ashley było ciemno choć oko wykol, pomijając boczne latarnie powozu, przez którego otwarte okna wpadały opary mgły, rosząc policzki i dłonie pasażerów.

– Rhett Butler, niech diabli porwą twoją uprzykrzoną duszę – zaklął John Haynes i wsunął się głębiej w siedzenie.

– Wedle życzenia, John. – Butler otworzył okienko u góry i zapytał: – Daleko jeszcze? Nie chciałbym narażać dżentelmenów na czekanie.

– Już dojeżdżamy, paniczu.

Chociaż Herkules pracował u ojca Rhetta jako trener koni wyścigowych i zajmował najwyższą pozycję wśród służby w Broughton, uparł się, że odwiezie młodzieńców.

– Steven wpadnie w gniew, kiedy się dowie, że nam pomogłeś – ostrzegł go Rhett.

Herkules zeszywniał.

– Paniczu, toż ja pana znam od tyciego berbecia. Ja żem panicza sadzał na pierwszego konia. Niech panicz i pan Haynes przywiążą swoje konie z tyłu. Zawiozę was dziś tą landarą, gdzie trzeba.

Pucołowate policzki Johna Haynesa kłóciły się z jego nad wyraz stanowczym podbródkiem. Usta układały się w wiecznie skrzywiony uśmiech.

– Uwielbiam te mokradła – rzekł Rhett. – Do diaska, zważ przy tym, że nigdy nie chciałem zostać plantatorem ryżu. Gdy Steven godzinami rozprawiał o odmianach ryżu lub zarządzaniu Murzynami, ja i tak nie słyszałem ani słowa, bo marzyłem o rzece. – Oczy mu rozbłyły, nachylił się do przyjaciela. – Że płynę sobie

we mgle, sterując wiosłem. Pewnego ranka zaskoczyłem żółwia morskiego, który zjeżdżał po ślizgawce wydr, bo sprawiało mu to uciechę. Widziałeś kiedyś uśmiechniętego żółwia karettę? Nie pamiętam, ile razy usiłowałem przemknąć obok śpiącej wężówki, żeby jej nie obudzić. Zawsze jednak ptaszysko wysuwało nagle spod skrzydła wężowaty łeb, łypiąc bystrym, całkiem nierozespanym okiem, i trach – tu strzelił palcami – dawało nura. Bo już kurki wodne nie były tak czujne. Ile to razy wypływam zza zakrętu, a one setkami zrywają się do lotu. Wyobrażasz sobie, co znaczy pruć przez taką mgłę?

– Wyobrażnia cię ponosi – skwitował jego słowa przyjaciel.

– Często się zastanawiam, skąd u ciebie ta ostrożność. Dla jakiego szczytnego celu tak się oszczędzasz?

John Haynes przetarł okulary poślinioną chusteczką, ale tylko rozmazał brud.

– W innych okolicznościach pochlebiałyby mi twoja troska.

– Diabła tam, wybac. Mam nerwy jak postronki. Proch jest suchy?

Haynes dotknął lśniącego mahoniowego pudła, które trzymał na kolanach.

– Sam go zatkałem.

– Słyszysz, jak śpiewa lelek krzykacz?

Tętent końskich kopyt, skrzyp skórzanej uprząży, komendy Herkulesa: „Wio, łotry, wio”, trel lelka na trzy. Lelek krzykacz... doprawdy John nic nie słyszał o Shadzie Watlingu i tym ptaszku?

– Miałem dobre życie – wyznał Rhett Butler.

Ponieważ John Haynes uważał życie przyjaciela za straszliwe pobojuwisko, wstrzymał się od komentarza.

– Garść dobrych chwil, grono dobrych kompanów, moja kochana siostrzyczka, Rosemary...

– Właśnie, co z Rosemary? Jak ona sobie poradzi bez ciebie?

– Nawet nie pytaj! – Rhett spojrzał w ciemności za oknem. – A co ty byś, na miłość boską, zrobił na moim miejscu?

Roztropność podpowiadała Johnowi Haynesowi, że nigdy nie znalazłby się w podobnym miejscu, ale nie zdołał wypowiedzieć tej bezsprzecznej prawdy na głos.

Rhett odgarnął gęste, czarne włosy z czoła. Miał surdut na podszewce z czerwonego jedwabnego żakardu, obok leżała bobrowa czapka. John nie znał większego zawadiaki, pełnego życia jak dzikie stworzenie. Jeśli zginie od kuli, zostanie z niego pusty zewłok przypominający skórę mokasyna błotnego wywieszoną na płocie na jarmarku w Charlestonie.

– Już jestem zhańbiony – powiedział Rhett. – Cokolwiek mnie czeka, nie mogę okryć się większą hańbą. – Błysnął uśmiechem. – I co? Będą stare plotkary miały o czym mleć językami?

– Już raz i drugi dostałeś się na języki.
– Owszem. Bóg mi świadkiem, że ludzie pełni cnót mogli natrząsać się nade mną do woli. Kto lepiej ode mnie wystawiał się na wytykanie palcami przez mieszkańców Charlestonu? Wierz mi, John, że zaczęli mną straszyć dzieci. Synu – wyrecytował z powagą w głosie – jeżeli nadal będziesz tak niegrzeczny, skończysz jak Rhett Butler!

– Przestań żartować – poprosił John cicho.

– Ech, przyjacielu...

– Mogę ci coś wyznać szczerze?

Rhett uniósł ciemną brew.

– Przecież cię nie powstrzymam.

– Daj sobie spokój. Każ Herkulesowi zawrócić, przejedziemy się rankiem po mieście, zjemy porządne śniadanie. Shad Watling nie jest dżentelmenem, po cóż ci się więc z nim strzelać. Nawet nie mógł w całym Charlestonie znaleźć dobrze urodzonego sekundanta. Przymusił do tej posługi nieszczęsnego Jankesa, który bawi tu przejazdem.

– Brat Belle Watling ma prawo do satysfakcji.

– Wielkie nieba, Shad jest synem ekonoma twojego ojca. Na jego służbie! – John Haynes machnięciem ręki zbył słowa przyjaciela. – Zaproponuj mu zadośćuczynienie pieniężne... – Urwał stropiony. – Bo chyba nie robisz tego dla tej... dla tej kobiety?

– Belle Watling jest lepszą niewiastą od wielu, którzy ją potępiają. Wybacz, John, ale nie masz prawa kwestionować moich pobudek. Honor wymaga satysfakcji. Shad Watling rozповідаł o mnie kłamstwa, i dlatego go wyzwałem.

Tyle odpowiedzi cisnęło się Johnowi na usta, że prawie nie mógł wydusić z siebie słowa.

– Gdyby nie West Point...

– Chodzi ci o to, że wyrzucili mnie z Akademii Wojskowej? To tylko moje najnowsze, najbardziej spektakularne pohańbienie. – Rhett ścisnął rękę przyjaciela. – Chcesz, żebym je tu wszystkie wymieniał? Zgromadziłem więcej hańb i porażek niż... – Pokiwał smętnie głową. – Zbrzydła mi już niesława. Powinienem być poprosić kogo innego na sekundanta?

– Niech to diabli! – zaklął John Haynes. – Niech to wszyscy diabli!

* * *

John Haynes i Rhett Butler poznali się w szkole Cathcarte'a Puryeara w Charlestonie. Zanim Rhett wyjechał na studia do West Point, John Haynes zdążył dochrapać się ciepłej posadki w firmie przewozowej ojca. Gdy Rhett po wydaleniu

powrócił do domu, Haynes sporadycznie widywał starego przyjaciela na mieście. Rhett częściej bywał nietrzeźwy aniżeli trzeźwy. Johnowi serce się ścisnęło na widok przyjaciela, który mimo czarującej powierzchowności doprowadza się do tak odrażającego, cuchnącego stanu.

John sam należał do młodych kawalerów z południowej arystokracji, którzy niejako od urodzenia hołubili postawę obywatelską. Był zakrystianem w kościele Świętego Michała i najmłodszym organizatorem balów w Towarzystwie Świętej Cecylii. Chociaż zazdrościł Rhettowi temperamentu, nigdy nie brał udziału z Rhett-em i jego kompanami – „zuchami pułkownika Ravanała” – w nocnych włóczęgach po miejscowych burdelach, jaskiniach hazardu i barach.

Zdziwił się więc, gdy Butler zjawił się na nabrzeżu w biurze Haynesa i Syna, prosząc Johna o pomoc w honorowej sprawie.

- A twoi przyjaciele, Rhett? Andrew Ravel, Henry Kershaw, Edgar Puryear?
- Sęć w tym, że ty jeden będziesz trzeźwy.

Niewiele osób, czy to mężczyzn, czy kobiet, potrafiło się oprzeć rozbrajającemu uśmiechowi Rhetta Butlera. Toteż John Haynes nie odmówił.

Może John był nudny. Wieści o zabawnych skandalach docierały do niego dopiero, kiedy śmietanka Charlestonu już się nimi znudziła. Nieodmiennie palił dowcipy powtarzane za kawalarzami. W oczach matek wprowadził uchodził za dobrą partię, lecz córki chichotały na wzmiankę o nim, osłonięte wachlarzami. Ale już dwa razy grał w pojedynkach rolę sekundanta. Kiedy obowiązek wzywał, zawsze zastawał, że się tak wyrażę, Johna Haynesa w domu.

* * *

Główna droga przez plantację Broughton prowadziła po grobli oddzielającej pola ryżowe od rzeki Ashley. Powóz szarpnął, zjechawszy z głównej drogi, żeby skręcić w głąb łądu.

John Haynes nigdy jeszcze nie czuł się tak bezradny. Cokolwiek by zrobił, i tak nie powstrzyma tego obmierzłego, zabójczego przedsięwzięcia. Honor wymaga satysfakcji. To nie Herkules dzisiaj powozi, lecz wodze spoczywają w kościstych rękach honoru. W mahoniowym pudle nie leży para pistoletów Happoldta kalibru .40, lecz honor gotów plwać przyganą. Uporczywie chodziły Johnowi po głowie słowa jakże głupiej piosenki: „Nie mogłem ja cię miłować, Cecyljo, bom bardziej umiłował honor!”. Shad Watling był najlepszym strzelcem na całej Nizinie Nadmorskiej.

Skręcili w zarośniętą polną drogę tak rzadko uczęszczaną, że wici opłatwy szorowały o dach powozu. Czasem Herkules musiał podnosić nisko wiszące gałęzie, żeby powóz mógł przejechać.

Nagle John Haynes przypomniał sobie historię Shada Watlinga i lelka.

– Czujesz? – spytał Rhett z zadumą. – Zapachy mokradeł: pałki, mirt, astry solne, spartyny, błoto. Jako mały szczeniak wskakiwałem do skifa i znikałem na całe dnie, udając Indianina. – Uśmiech spełził mu z ust na to wspomnienie. – Muszę cię błagać o ostatnią przysługę. Znasz Tunisa Bonneau?

– Tego wolnego murzyńskiego żeglarza?

– Jeśli go spotkasz, spytaj, czy pamięta dzień, w którym popłynęliśmy do Beaufort. I poproś, żeby pomodlił się za moją duszę.

– Wyzwolony Murzyn?

– W dzieciństwie żeglowaliśmy razem po rzece.

Do powozu wpadało mgliste szare światło. Rhett wyjrzał przez okno.

– Jesteśmy na miejscu.

John sprawdził na zegarku kopertowym.

– Słońce wszędzie za dwadzieścia minut.

Miejscem pojedynku było trzyakrowe pastwisko okolone ciemnymi cyprysami i strojnymi oplątą dębami. Teraz ginęło we mgle, z której oparów dobiegały chrapliwe okrzyki:

– Hola, mućka! Hola!

Rhett wysiadł z powozu i zaczął zabijać ręce.

– I oto mój cel. Kiedy w dzieciństwie marzyłem o czekających mnie zaszczytach, nie przeszłoby mi przez głowę, że tak skończę.

Z odmętów mgły doleciał ich ryk bydła.

– Byleśmy tylko nie zastrzelili krowy. – Rhett przeciągnął się. – Ojciec wpadłby w furie, gdybyśmy mu zastrzelili krowę.

– Rhett...

Położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– John, jesteś mi dziś potrzebny. Ufam, że zajmiesz się wszystkim jak należy, ale oszczędź mi swoich dobrych rad.

John zagryzł więc zęby, złorzecząc w duchu, że przypomniał mu się Shad Watling i lelek krzykacz. Kiedy Steven Butler zbudował wielki dwór w Broughton, jego ekonom Izajasz Watling przeprowadził się z rodziną do dawnego domu Butlera, żeby mieć blisko do pól ryżowych i do murzyńskich czworaków. Ta niewielka wiejska chałupa stała w cieniu rozłożystych dębów, które ledwo odrosły od ziemi, kiedy Butlerowie przybyli na Nizinę Nadmorską.

Ów lelek założył w jednym z dębów gniazdo i od świtu do zmierzchu witał ich krzykiem.

Belle, córka Watlinga, uważała, że ptak tym trelem wabi towarzyszkę. Sara, matka Belle, twierdziła, że to nie gody, lecz żałoba.

Spór o to, czy ptak flirtuje, czy lamentuje, zakończył się niedługo po ich wprowadzeniu, wraz z nastaniem poranka, gdy domem wstrząsnął huk strzału. Matka wbiegła do pokoju syna i zobaczyła na parapecie dymiący pistolet.

– Już ten durny ptak więcej mnie nie obudzi – warknął.

Mimo słabego światła Shad Watling odstrzelił małemu lelкови łebek z odległości sześćdziesięciu kroków.

– Słyszałeś o lelku? – zapytał John Haynes Rhetta.

– To tylko dykteryjka – odparł Rhett i potarł zapałkę o podeszwę kamasza.

– Shad Watling ma też na swoim sumieniu śmierć ludzi.

Zapałka trzasnęła, rozbłysła, Rhett zapalił cygaro.

– Ale tylko Murzynów i ludzi swojego pokroju.

– Sądzisz, że twoje dobre urodzenie zmieni tor pocisku?

– A jakże! – odparł poważnie Rhett. – Do krośset piorunów, na coś to dobre urodzenie musi się przydać!

– Ktoś idzie – obwieścił Herkules z wyżyn kozła.

Z mgły wypadł zziązany mężczyzna. Surdut miał przewieszony przez rękę, a spodnie mokre na kolanach, bo najwidoczniej musiał się potknąć.

– Pierońskie krowy – zaklął. Przełożył surdut i wyciągnął rękę do Johna Haynesa, lecz po namyśle ją cofnął i uklonił się niezdarnie. – Tom Jaffery z Amity w stanie Massachusetts, do usług, panowie.

– A zatem, Tom – rzekł Rhett z uśmiechem – chyba wizyta w Charlestonie wryje się panu w pamięć.

Jaffery był kilka lat młodszy od Rhetta i Johna.

– Tam w Amity nikt mi nie uwierzy.

– Pamiętaj, że wstrząsające historie stanowią główny artykuł eksportowy Południa. Kiedy będziesz opowiadał o nas przyjaciółom, nie omieszkaj wspomnieć o diable przystojnym, szarmanckim Rhettie Butlerze. – Zamyślił się, na jego czole wystąpił mars. – Na twoim miejscu nie zająknąłbym się natomiast o krowach.

– Czy pański mocodawca już przybył? – spytał John młodego Jankesa.

Tom Jaffery machnął ręką w stronę gęstej mgły.

– Watling przyjechał, a wraz z nim doktor Ward. Oj, nie lubią się ci dwaj panowie zanadto.

John Haynes wziął młodego człowieka pod pachę i wyprowadził z zasięgu słuchu Rhetta.

– Panie Jaffery, grał pan już kiedyś rolę sekundanta?

– Nie. U nas w Amity nie wyczynia się takich rzeczy. Nie wykluczam, że dziadek wdawał się w takie hece, ale dzisiaj nic podobnego się nie praktykuje. Jestem, można by rzec, nowicjuszem. Moja ciotka Patience, przechodząc na łono Abrahama,

zapisła mi w spadku pewną sumkę, dlatego wybrałem się zwiedzić kraj. Tom, mówię do siebie, bo jeśli nie teraz, to, na miły Bóg, kiedy? No więc podziwiam ja wasz słynny port charlestoński, w niczym, śmiem twierdzić, nieustępujący naszemu słynnemu bostońskiemu, aż tu podchodzi do mnie pan Watling i pyta, czy jestem dżentelmenem. Zaiste, mam taką nadzieję. Wtenczas pan Watling zapytał, czy zgodzę się zostać jego sekundantem. Pomyślałem więc sobie, Tom, chciałeś poznać kraj, to i poznasz. W Amity nie trafiłaby mi się taka okazja.

John Haynes nie powiedział młokosowi, że wybór obcego Jankesa przez Shada Watlinga był obliczony jako zniewaga.

– Zna pan swoje obowiązki?

– Jako sekundanci winniśmy dbać o należyty przebieg wydarzenia.

John Haynes z zadumą zmierzył młodego Jankesa wzrokiem.

– Przede wszystkim powinniśmy dążyć do pojednania uczestników – oznajmił z żalem człowieka, który wie, że się nie spisał.

– Ależ mój mocodawca ani myśli o pojednaniu. Twierdzi, że przestrzeli Butlerowi serce. Wiem, że obu panów łączy dawna znajomość.

– Niebawem się rozwidni. Zwyczajowo wschód słońca uchodzi za sygnał do rozpoczęcia.

– Skoro wam odpowiada wschód słońca, to i nam odpowiada.

– Kiedy na horyzoncie wstanie słońce, panowie wybiorą pistolety. Ponieważ pański mocodawca został wyzwany, wybiera pierwszy. Naładujemy teraz?

John Haynes położył mahoniowe pudło na błotniku powozu, otworzył zameczek i wyjął pistolet. Lśniaca, moletowana kolba ożyła w jego dłoni, jak gdyby złapał mokasy na błotnego.

– Jak pan widzi, pistolety są identyczne. Na pańskich oczach naładuję jeden pistolet, pan zaś naładuje drugi.

Wsyłał proch, owinął natłuszczoną szmatką ołowianą kulę, wprowadził do lufy. Podłożył kapiszon pod kurek i odwiódł go do połowy.

– Kiedy wrócę do swoich, nikt mi nie uwierzy – powiedział Thomas Jaffery.

* * *

Wstawał świt, mgła darła się na pasy, gdy przez łąkę nadjechały dwa upiorne powozy – jednokonna bryczka i chłopska furmanka ciągnięta przez muła.

Rhett Butler odwiązał konia od bryczki i wtulił twarz w potężną szyję zwierzęcia.

– Chyba się nie boisz, Tecumseh? Nie bój się. Nikt ci tu krzywdy nie zrobi. – Następnie zwrócił się do przyjaciela: – Za czasów mojego dziadka, John, na tej łące uprawiali indygo. W lesie jest staw, nad którym rożeńce wysiadują młode.

Piżmoszczury uwielbiają pisklęta rożeńców, czasem więc płynie sobie taki miot, aż nagle jedno pisklę, bach, trafia pod wodę. Tak szybko, że nie zdążą nawet odfrunąć w popłochu. Will, nasz słuzowy, zastawiał tu zawsze pułapki na piżmoszczury.

– Rhett, my, sekundanci, rozmówimy się z Watlingiem. Jakie przeprosiny cię usatysfakcjonują?

Rhett zamknął oczy na znak uporu.

– Shad Watling twierdzi, że jestem ojcem dziecka jego siostry. Zarzuciłem mu łgarstwo. Jeśli przyzna, że zełgał, wycofam wyzwanie.

– Zaproponujesz zadośćuczynienie? Czy zaoferujesz dziewczynie pieniądze, żeby mogła wyjechać i urodzić dziecko?

– Jeżeli Belle będzie trzeba pieniędzy, to jej dam. Pieniądze nie mają tu nic do rzeczy.

– Jako twój przyjaciel...

– Ech, John. – Rhett schował twarz w szyi Tecumseha. – Prawdziwy przyjaciel pomógłby mi doprowadzić sprawę do końca.

* * *

Furmanka Shadracha Watlinga była w oplakanyim stanie. Miała połamane koła, piasty i obręcze.

– Moje uszanowanie panom, Jaffery i Haynes. Widzę, żeście przywieźli Butlera.

– Shad...

– Dzisiaj proszę mi mówić panie Watling.

– Panie Watling, wierzę, że dojdziemy do porozumienia.

– Już ja wiem, jakie porozumienie Butler miał z moją siostrą. Już ja się z nim porozumiem.

– Rhett Butler pochlebił panu, że traktuje go jak dżentelmena.

Shad splunął.

– Mam na uwadze ruszyć się na zachód. Bożyczku, jak mnie już mgli od tej Niziny Nadmorskiej. Tylko bogate pieruny i czarnuchy. Czarnuchy i bogate pieruny. Mam krewniaków w Missouri.

– Gdziekolwiek pojedziesz, wszędzie musisz mieć pieniądze. Gdyby twoja siostra Belle pojechała z tobą, skandal rozszedłby się po kościach.

Watling zarechotał.

– Butler proponuje mi pieniądze?

– Nie, ja proponuję.

– Czyli że wszystko sprowadza się do pieniędzy?

Znów splunął.

Shadrach Watling był krępy męczyzną, bez brody.

– Nie tym razem. Butler załatwił mi za skórę. Chociaż tato nieźle wyćwiczył Belle, nie puściła pary z gęby, czy to Rhett ją podkuł. Ale nie ma przebaczyć. Aż mnie ręka świerzbi, żeby nafaszerować Butlera ołowiem. Ladaco był z niego za młodu, a teraz słyszę, że i ladaco w żołnierce. Nie jest wart nawet jednego kamasza ciepłych szczyń. – Zapatrzył się na rzekę. – Zaraz się rozwidni. Muszę zawieźć cztery połamane koła do kołodzieja, a on wcześniej zaczyna dzień. Jako że jestem wyzwany, to ja wyznaczam odległość. Widzi mi się, że pięćdziesiąt kroków będzie dość, żeby go trafić, a on chybił. Nie chciałbym, żeby mnie drasnęła zbłąkana kula.

Wyszczerzył pieńki szerniałych zębów w milczącym śmiechu.

Zakutany w grube wełniane odzienie Franklin Ward chrapał w swoim powoziku. Kiedy John Haynes kopnął lekarza w but, ten otworzył oczy i ziewnął.

– A, nasze przedsięwzięcie...

Rozmotał się, wysiadł, spojrział w bok. Czując odór jego uryny, John Haynes zmarszczył nos. Lekarz wytarł palce w poły fraka.

Doktor Ward wyciągnął rękę do Rhetta.

– Pan jest moim pacjentem, jak mniemam?

Rhett uśmiechnął się krzywo.

– Ma pan, doktorze, narzędzia do wyciągnięcia kuli? Zgłębniki? Bandaże?

– Szanowny panie, studiowałem w Filadelfii.

– Niewątpliwie znaczne miasto do studiowania.

Za lekarzem kroczył Shad Watling, który uśmiechał się z roztargnieniem i drapał w udo.

– Panie Butler – spytał Tom Jaffery – czemu zdejmujesz pan koszulę?

– Potrzebujesz, John? Zdejmuję, jankeski przyjacielu, żeby kula nie wepchnęła materiału w ranę.

– Może pan lubi chadzać nago. – Shad Watling łypnął okiem na niższego od siebie męczyznę z pogardą. – Ja tam w ogóle nie zdejmuję więcej przyodziewku, niż muszę.

– Panowie – przerwał im John Haynes. – Czeka nas barbarzyńskie, śmiertelne starcie, muszę zatem ponowić pytanie, czy nie dałoby się obronić honoru, gdyby pan Watling cofnął swoje słowa, a pan Butler przeprosił i wypłacił rekompensatę.

Rhett z zimna dostał na rękach gęsiej skórki.

– Pięćdziesiąt kroków powinno wystarczyć – rzekł Shad. – Butler, pamiętasz swojego czarnoskórego kamrata Willa? Jak błagał o litość? Gdybyś potrafił tak samo błagać o litość, może bym ci odpuścił. – I znów wyszczerzył zęby. – Zobaczmy no te pistolety. Jankesie, patrzyłeś, jak Haynes ładuje? Nie naładował aby którego podwójnie? Bo w jednym już mogła być kula w lufie, kiedy dorzucił drugą.

- Pan Haynes jest dżentelmenem! – odparł wyraźnie obruszony Jankes.
- Albo mógł naciąć swoją kulę. Wycina się takie kółeczko w kuli, żeby się rozprysła, jak uderzy. Obejrzałeś, Jankesie, jego kulę?
- Pan Haynes jest dżentelmenem – powtórzył młody Jaffery.
- A jakże, a jakże! Dżentelmen nigdy w życiu nie natnie kuli. Dżentelmen nie naładuje podwójnie broni. Gadaj, który pistolet ładował Haynes?
- Ja ładowałem ten bliżej pana – rzekł John.

W lesie rozległ się długi, przenikliwy dźwięk, jak gdyby myśliwi goniący za lisem dojrżeli zdobycz. Po chwili na łąkę wjechało z chlupotem kół otwarte lando. Między siedzeniami stało dwóch młodych zuchów, jeden z trąbką pocztyliona przy ustach, którą upuścił, żeby złapać się siedzenia i nie wyrznąć jak długi, kiedy powóz szarpnął i stanął.

- Szanowanko, szanowanko! Nie ominęła nas zabawa?

Starszy powożący zarechotał.

- Przecież obiecywałem, że zdążymy – powiedział. – I co, pułkownik Jack nie znalazł tych łajdaków?

Pułkownik Ravel był szanowanym hodowcą ryżu do śmierci swojej żony Frances. Nie wiadomo, czy z żalu za zabitą żoną, czy z braku małżeńskiej powściągliwości całkiem się rozhulał. W Charlestonie, gdzie pijaństwo wśród wyższych sfer było zabronione jedynie klerowi, pułkownik Jack Ravel uchodził za pijaka. W mieście, w którym wszyscy dżentelmeni jak jeden mąż uprawiali hazard, Jack miał zakaz wstępu do porządných kasyn. Znał się jednak doskonale na koniach, toteż szalejący na punkcie koni Charleston wiele mu z tego powodu wybaczał.

Do landa podszedł John Haynes.

- Panowie, to sprawa honorowa. Dobre maniery...

Młodzi ludzie przyjechali wystrychnięci w brokatowe marynarki, kolorowe cylindry i spodnie tak obcisłe, że już nie potrzebowali saczków na klejnoty rodzinne. Chociaż Jack Ravel mógłby być ojcem tych młodzieńców, wystroił się podobnie.

- Ktoś wybrzuchacił wiejską dziewczkę i zaraz sprawa honorowa? – Zagrała głośno trąbka. – Hola, Johnny Haynes. To ani chybi kolejny szatański żart Rhetta.

John Haynes się zjeżył.

- Henry Kershaw, toż to afront. Nikt cię tu nie prosił.

Potężny Henry Kershaw chwiał się na nogach.

- Chcesz powiedzieć, że kuzyn Rhett naprawdę ma zamiar się pojedynkować? Niech mnie licho, Edgar, jutro się ustatkuję. Rhett, to ty? Nie jest ci zimno? Tyle godzin jechaliśmy przez te cholerne bagna. Pułkownik Jack twierdzi, że kiedyś był właścicielem tej ziemi, ale musiał być wtedy trzeźwy. Edgarze Puryear, nie wychlej nam całej whisky!

– Panie Haynes – odezwał się Tom Jaffery. – Czy to zgodne z kodeksem?
– Pan jesteś ten Jankes, o którym słyszeliśmy? – zapytał Henry Kershaw.
– Zgadza się. Z Amity w stanie Massachusetts.
– Niczyja to wina, że człek tu lub ówdzie przyjdzie na świat. Powiedz pan lepiej, czy nie jesteś aby przeklętym abolicjonistą?

Rhett uciszył Johna dotknięciem ręki i spytał jak najciszej:

– Edgar, Henry, Jack, przyjechaliście, żeby zobaczyć, jak umieram?

Edgar Puryear przybrał skruszoną minę.

– Jack zapowiadał, że szykuje się szopka, istna szopka! Bo za nic w świecie nie stanąłbyś do walki z mężczyzną o taki... o taki...

– Szopka? Jeśli mój ojciec się dowie, żeś maczał w tym palce, wyśle cię do przytułku.

– Rhett, nie strasz starego Jacka!

– Henry Kershaw jest pijany, a po pijaku robi wszystko. Edgar Allan przyjechał na widowisko. Lubi sobie popatrzeć. Ale co wywlokło w zimny poranek z ciepłego łóżka dziwki takiego podstarzałego szubrawca jak ja?

Jack Ravanel uśmiechnął się przymilnie.

– Otóż wiedz, mój drogi, że stary Jack przybył ci na pomoc. Przyszedłem ci przemówić do rozumu! Napijmy się jak dwaj kamraci, powspominajmy lepsze czasy. Mówiłem ci już, jak podziwiam Tecumseha? Daj Boże, co to za rumak!

Rhett przez chwilę słuchał w osłupieniu. Zaraz jednak skrzywił się i zachichotał, a potem roześmiał się tak serdecznie, że aż skulił się we dwoje. Zaraził tym śmiechem obu kompanów, którzy uśmiechali się od ucha do ucha, a młody Jankes też zarżał.

Rhett otarł oczy.

– Nie, Jack, nie dostaniesz Tecumseha. John, jeśli zginę, koń jest twój. Dalej, Watling, wybieraj pistolet.

– Boże wszechmogący! – Henry Kershaw wytrzeszczył oczy. – Rhett naprawdę chce się strzelać!

Pułkownik Jack zmrużył oczy. Przegonił swoich kompanów z pola.

Na wydrążonym pniu w głębi lasu zabulgotała pardwa. Ogromne, parujące słońce wstało znad rzeki, przywracając ziemi żółcienie, błękity i seledyny przegonił wcześniej przez mgłę.

John Haynes zamknął oczy i przez chwilę skupił się na cichej modlitwie. Następnie przemówił do zebranych:

– Panowie.

Tubalny śmiech Rhetta zbił Shada Watlinga z pantałyku. Uszła z niego para. Jego ofiara dała się zwabić w potrzask, lecz z niego umknęła. Shad chwycił pistolet

i zaczął go oglądać, jak gdyby był niesprawny.

– „Paniczu Butler”, Chryste Panie, jak te czarnuchy się panu podlizują!

Drugi pistolet z długą lufą zwiślał w ręce Rhetta, którego szeroki uśmiech przeniósł się po obnażonej ręce do wylotu lufy, jak gdyby pistolet również się uśmiechał.

Rankiem nad rzeką krępy, wzburzony mężczyzna stał zwrócony plecami do na wpół nagiego, uśmiechniętego mężczyzny.

Każdy miał odmierzyć dwadzieścia pięć kroków. Kiedy słońce rozjaśni horyzont, John Haynes wyda komendę, żeby odwrócili się i strzelili.

Przeciwnicy maszerowali przed siebie, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć kroków... Słońce przywarło do horyzontu.

– Tam w Amity nikt mi nie uwierzy – szepnął Tom Jaffery.

Słońce dzwignęło się do góry, aż między jego krawędzią a brzegiem rzeki powstała biała szczelina. John Haynes zawołał klarownym głosem:

– Panowie! W tył zwrot! Pal!

Podmuch wiatru znad rzeki rozwiął czuprynę Rhetta Butlera. Wtedy odwrócił się i w pozycji szermierza, profilem, uniósł pistolet.

Shad Watling wypalił pierwszy. Gdy kurek spadł na iglicę, z lufy poszedł kłęb białego dymu.

* * *

Dziewięć lat wcześniej

Widząc zniecierpliwiony gest Stevena Butlera, jego starszy syn od razu przygotował się na lanie. Zdjął koszulę i złożył ją na oparciu krzesła.

Odwrócił się i oparł dłonie na biurku ojca. Gładka skórzana powierzchnia ugięła się pod jego ciężarem. Wlepił wzrok w kryształowy kałamarz ojca. Taki kałamarz może pomieścić cały świat bólu. Pierwszy dotkliwy cios zaskoczył Rhetta. Kałamarz był do połowy napełniony granatowym atramentem. Rhett zastanawiał się, czy gniew ojca poniesie. Kiedy wzrok mu się zamglił, odniósł wrażenie, że kałamarz płynie w mgielce łez.

Jednakże i tym razem ojciec powstrzymał się od wymierzenia kary.

Ściskając pięści z frustracji, cisnął laskę na podłogę i wykrzyknął:

– Na miły Bóg, chłopcze, gdybyś nie był moim synem, poczułbyś smak dyscypliny.

Jak na swoje dwanaście lat Rhett był wysokim chłopcem. Karnację miał ciemniejszą od ojca, a gęste kruczoczarne włosy wskazywały na domieszkę indiańskiej krwi.

Chociaż jego plecy przypominały mozaikę sinych pręgów, nie poprosił o litość.

– Mogę się ubrać, ojcze?

- Twój brat Julian jest posłuszny. Dlaczego starszy syn mnie nie słucha?
- Nie wiem, ojciec.

Gabinet Stevena był równie ciasny jak jego dom rodzinny w Broughton przestronny. Stało w nim tylko szerokie biurko z krzesłem, kałamarz, suszka, pióra, i nic więcej. Na ścianie nie wisiały żadne sztychy ani obrazy. Z dziesięciostopowych, nieosłoniętych firankami okien rozciągał się niezakłócony widok na bezkresne pola ryżowe.

Chłopiec zdjął białą batystową koszulę z krzesła i z ledwie dostrzegalnym grymasem zarzucił ją na ramiona.

– Nie chcesz mi towarzyszyć na zebranie legislatury. Kiedy ważne osobistości zjeżdżają do Broughton, ty znikasz. Już nawet Wade Hampton pytał, dlaczego nigdy nie widuje mojego najstarszego syna.

Rhett milczał.

– Nie nadzorujesz naszych Murzynów. Nie chcesz nauczyć się ich nadzorować! Cisza.

– Można by doprawdy rzec, że migasz się od wszelkich obowiązków syna dżentelmena z Karoliny. Łaskawco, jesteś buntownikiem. – Chustką do nosa Steven otarł pot z bladej czoła. – Uważasz, że ja czerpię przyjemność z wymierzania ci kary?

– Nie wiem, ojciec.

– Twój brat Julian jest posłuszny i mnie słucha. Dlaczego ty mnie nie słuchasz?

– Nie wiem, ojciec.

– Nie wiesz? Nie chcesz powiedzieć! Tak jak nie chcesz jechać z rodziną do Charlestonu. Zaklinasz się, że uciekniesz.

– Taki mam zamiar, ojciec.

Rozsierdzony ojciec długo patrzył synowi w oczy.

– A niech cię zaraza!

Nazajutrz rano rodzina Butlerów wyjechała do domu w Charlestonie bez najstarszego syna. Wieczorem Dollie, czarnoskóra akuszerka, natarła maścią pręgi na ramieniu chłopca.

– Pan Steven ma ciężki charakter – powiedziała.

– Nienawidzę Charlestonu – rzekł Rhett.

* * *

Na nadrzecznych plantacjach w kwietniu pokrywano gliną i sadzono nasiona ryżu, a następnie otwierano śluzy, żeby nawodnić pędy. Przed wrześniowymi żniwami uprawy ryżowe zalewano jeszcze trzy razy. Utrzymanie i obsługa wielkiej oraz mniejszych śluz tak bardzo przesądzały o plonach, że Will, śluzowy z plantacji

Broughton, zajmował w hierarchii niewolników drugie miejsce zaraz po Herkulesie.

Chociaż słuchał pana Stevena i Izajasza Watlinga, nie podporządkowywał się nikomu innemu, nawet Shadowi Watlingowi, dwudziestoletniemu synowi ekonomy.

Will mieszkał w osobnej chacie. Miał własny stół, dwa krzesła, sznurowe łóżko i trzy wyszczerbione hiszpańskie misy, które Louis Valentine Butler zabrała ze statku *Mercato*. Odczekawszy przepisowy rok po śmierci pierwszej żony, Will zdecydował się znów na żeniactwo, tym razem z Mistletoe, wdzięczną piętnastolatką.

W obawie przed śmiertelną zarazą plantatorzy z Niziny Nadmorskiej unikali pracy w upalne miesiące. Kiedy Steven opuszczał miasto, żeby obejrzyć swoje zbiory, przyjeżdżał tuż po świcie i wyjeżdżał przed zmrokiem.

Jego syn, boso, rozebrany do pasa, polował, łowił ryby i penetrował moczary nad rzeką Ashley. Od dziecka nauczycielami były mu aligatory, czaple, rybołowy, ryżojady, żółwie kareta i dziki. Znał tajne zakątki, w których murzyński szaman zbierał zioła, i miejsca łęgowe sumów. Czasem całymi dniami nie wracał do Broughton, a kiedy ojciec przyjeżdżał na wieś i go nie zastawał, nigdy nie pytał o syna.

Ekonom Watling doglądał zalewania i gracowania delikatnych upraw ryżowych. Oceniał, kiedy trzeba rozłożyć trutki na ryjące w groblach piżmoszczury, a kiedy odstrzeliwać ryżojady.

Mimo że Murzyni byli bardziej odporni na malarię niż ich biali panowie, to pracowali po kolana w podzwrotnikowych mokradłach, dlatego nieuchronnie czasem chorowali. W ambulatorium w Broughton Sara, żona ekonomy Watlinga, wraz z młodą Belle podawały pacjentom korę chininy i herbatę z wiąz. Biała kobieta i jej córka pomagały Dollie przyjmować noworodki oraz goić rany mężczyźni i kobiet wybatożonych przez męża jednej, a ojca drugiej.

Niektórzy Murzyni powiadali, że pan Steven rzadziej chwytą za batog niż stary Watling.

– Pan Steven nie wycisnie pracy z człowieka złożonego chorobą w ambulatorium.

Inni woleli Izajasza Watlinga.

– Twarda sztuka ze starego Watlinga, ale nie tknie człowieka batem, jak nie musi.

Panicz Rhett zasypywał służbę ojca praktycznymi pytaniami. Dlaczego służy robi się z drzewa cyprysowego? Dlaczego ryżu nie gracie się po zalaniu przed żniwami? Dlaczego nasiona ryżu przesiewa się ręcznie? Murzyni jedli ryby i dziczyznę przynieszone przez Rhetta, który spędzał niedziele, dzień święty Murzynów, w ich czworakach. Biały chłopiec towarzyszył Willowi podczas inspekcji służy, a w południe obaj często jedli drugie śniadanie nad rzeką.

Kiedy Shadracha Watlinga przypiliło, odwiedzał czworaki po zmroku. Zazwyczaj wypraszał wtedy rodzinę dziewczyny.

– Może byście się tak przeszli po lesie.

Czasem dawał mężowi lub ojcu gąsiorek zajzajeru, żeby mu ta godzinka szybciej zleciała.

Ale Mistletoe, nowa żona słuzowego, nie zgodziła się na igraszki z synem ekonomą, gdy więc Shad Watling nie chciał opuścić chaty Willa, ten wyrzucił go na ulicę ku ucieście innych Murzynów.

Kiedy Steven Butler usłyszał, co Will zrobił, wyjaśnił ekonomowi Watlingowi, że Murzynom nie wolno się śmiać z syna ekonomy, bo zaraz zechcą się śmiać z samego ekonomy, a na ostatku z pana.

W Broughton mieszkało trzystu Murzynów i garstka białych, w tym trochę kobiet. Co powstrzymywało Murzynów przed powstaniem i wymordowaniem białych? Steven Butler powiedział Izajaszowi Watlingowi, że kiedy Murzyni zaczną burczeć pod nosem, ostrzyć gracie i noże do cięcia ryżu, to już nie da się zapobiec powstaniu. Bunt tłumy się, miażdżąc pierwsze rebelianckie spojrzenie, zuchwały szept, pierwsze lekceważące prychnięcie.

– Will to dobry Murzyn – powiedział Watling.

– Twój syn wymierzy karę.

– Shadrach? – Watling miał oczy czarne jak węgiel. – Jest pan zadowolony z mojej pracy?

– Dobrze się spisujesz.

– Zanim się tu nająłem, pracowałem na swoim.

– A teraz nie pracujesz.

Watling uklonił się i wymamrotał:

– Muszę coś panu powiedzieć, panie Steven. Racja była po stronie Willa. A mój Shadrach... Shadrach się nie liczy.

– Ale jest biały – odparł Steven.

* * *

Niebo o poranku było zadziwiająco klarowne jak na sierpień, powietrze duszne i parne.

Młyn ryżowy na plantacji w Broughton był murowany, a wialnia drewniana, pobielana. Mleczarnia, czworaki Murzynów i lazaret były w pasy, na przemian warstwa cementu z miażdżonych muszli ostrzyg i warstwa wapna. W wysokiej, pozbawionej okien wędzarni, do której prowadziły ciężkie drzwi z żelaznymi okuciami, panował złowieszczy nastrój jak w średniowiecznej wieży obronnej. Co niedziela rano Watling stawał przed tym skarbcem obfitości i wydzielał tygodniowe racje

przesuwającym się w kolejce służącym.

- Dziękuję, panie Watling.
- Bardzo panu dziękujemy, panie ekonomie.

Izajasz Watling był szafarzem dóbr wszelakich, a jednocześnie wymierzał kary.

Pręgierzem w Broughton był tępo zakończony słup z czarnego cyprysu. Miał pięć stóp i sześć cali wysokości i osiemnaście cali średnicy. Do żelaznej obręczy mocowano ręce ofiar w przegubach.

Will poprosił młodego panicza o wstawiennictwo, na co Rhett zwrócił się do ekonomy.

- Watling, to rozkaz!

Izajasz Watling zmierzył chłopca wzrokiem, jakby był dziwacznym przedmiotem wyrzuconym na brzeg przez morze.

– Paniczu, kiedy zbuntował się pan przeciwko ojcu, zapytałem go, jak mam panicza traktować, kiedy wyjedzie do miasta. Przykazał mi wypełniać jego rozkazy. Powiedział, że pan nie ma prawa mi rozkazywać. Dlatego teraz wymierzę czarnuchowi sprawiedliwość, co nauczy go szacunku. Za swoje zuchwałstwo Will zarobi dwieście razów.

- Zmiłuj się, taka chłosta go zabije. Toż to morderstwo.

Izajasz Watling przekrzywił głowę, jakby wytężał słuch.

– Ten czarnuch należy do pańskiego ojca. Tylko nieliczni z nas, paniczu, mogą być panami siebie.

Batog jego syna Shada leżał zwinięty leniwie, zanim rozwinął się niczym powojnik na obudowie studni. Murzyni stali w milczeniu, mężczyźni z przodu, kobiety i dzieci za nimi. Małe dzieci kleiły się do sukni matek.

Kiedy Izajasz Watling wyprowadził Willa z wędzarni, służowy zamrugął w oślepiającym świetle. A kiedy przywiązał Willowi ręce w przegubach, Murzyn nie stawiał oporu.

Rhett Butler jeszcze nie nabrał odwagi dorosłego, toteż nie mógł patrzeć, jak mordują jego przyjaciela. Gdy Watling obnażył plecy Willa, Mistletoe zemdląła, a Rhett pomknął w stronę rzeki, żeby nie słuchać trzasków batoga i jęków Willa, które przeszły w krzyki.

Wskoczył do skifa, odwiązał cumę i dał się porwać rzece. Lunął deszcz, który przemoczył go do suchej nitki. Łódź płynęła niesiona prądem. Deszcz bębnił chłopcu w uszach, musiał mrugać, żeby strącić krople z powiek.

Poprzysiągł sobie, że kiedy dorośnie, już nigdy nie będzie bezradny.

* * *

Ulewa się nasiliła, przez strugi deszczu Rhett nie widział już nawet dziobu własnej

łodzi. Woda przelewała się przez ławki.

Żagiel poszedł w strzępy. Utonęło wiosło. Kiedy dryfujący pień cyprysu zagroził przewróceniem skifu, Rhett, odpierając drzewo, złamał drugie wiosło. Obejrzał kikut, jak gdyby, jeśli rozum tak mu podpowie, mógł go jeszcze użyć. Wylewał wodę czerpakiem, dopóki nie rozbolały go ręce. Kiedy krzyczał, żeby pozbyć się ciśnienia z uszu, wiatr porywał krzyk.

Rzeka otwierała śluzy i zalewała pola ryżowe. Czasem skif Rhetta sunął kanałem, a czasem mknął przez akry łąnów najlepszego złotego ryżu w Karolinie.

Nagle deszcz i wiatr ustały, jak gdyby żywioły pchnęły Rhetta w inny świat. Wokół panował spokój, gdy skif wpływał gładko w jasność u szczytu wirującego leja, który wznosił się do nieba zasnutego teraz granatem. Rhettowi wydało się, że widzi gwiazdy. Nieraz słyszał o oku huraganu, ale nigdy nie sądził, że sam się w nim znajdzie.

Prąd cisnął obciążony wodą skif na skłębiony brzeg, pełen powyrywanych z korzeniami, połamanych drzew. Rhett przywiązał łódź do gałęzi, a sam ruszył tam, skąd dochodził stukot młotków.

* * *

Za młodu Thomas Bonneau został wyzwolony przez białego pana, który go wychował. Ojciec podarował synowi pięć akrów ziemi na niskim wzniesieniu za rzeką, gdzie ten zbudował sobie skromny dom wykończony zaprawą murarską o grubych, szorstkich ścianach, które oparły się poprzednim huraganom. Bonneau i jego syn, mniej więcej rówieśnik Rhetta, siedzieli na dachu i przybijali gonty.

– Patrz, tato, idzie biały chłopiec – powiedział młody Tunis.

Obaj zsunęli się na ziemię. Thomas przywitał na wpuł żywego Rhetta.

– Zapraszamy do nas, paniczku. Jak dotąd mury nas ochroniły. Jeśli Bóg dozwoli, uchronią nas jeszcze żdziebko dłużej.

W środku, w jedynej izbie chaty, Pearl, żona Thomasa Bonneau, razem z dwójką młodszych dzieci piętrzyła śluzy, więcierze na ryby, kłoc do rąbania i klatki na kury w chwiejny stos, żeby dosięgnął belek stropowych.

– W taki huragan ni wiatr, ni deszcz nie zabiją człeka – wyjaśnił Bonneau, chwytając swoją belkę. – Kiedy huragan machnie ogonem, powódź odbiera człekowi życie, ot co.

Tunis podał najmłodsze dzieci ojcu, który schował je pod swoje barczyste ramiona. Kiedy już wszyscy siedzieli bezpiecznie na belce, Bonneau wyrecytował śpiewnym tonem:

– I rzekł Bóg do Noego: wszyscy ludzie postępują niegodziwie, zatem sprowadzę potężny potop, ale ty i twoja rodzina ocalejecie od zagłady...

Dalsze słowa porwał wiatr.

Kiedy nadciągnął, sztormowa fala z całej siły rąbnęła w mały, lichy dom i wyłamała drzwi. Woda spieniła się pod zwisającymi nogami Rhetta, a belka, na której siedział okrakiem, zadygotała. Thomas Bonneau odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy, a od wychwalania Boga mięśnie szyi miał napięte jak postronki.

* * *

Najgorsze minęło.

Burza dobiegła końca, bo każda burza ma swój kres, wody opadły i jak zawsze po burzy słońce oświetliło piękny, nowy świat.

– Jeśli mnie wzrok nie myli – odezwał się Thomas Bonneau – na twoim drzewie siedzi ara. – Zaszargany niebiesko-żółty ptak przycupnął na gałęzi odartej z liści. – Bóg raczy wiedzieć, skąd ją przywiało.

Wywlekli ubłocone śluzę i połamane więcierze na dwór, a Pearl Bonneau rozwiesiła sznur, żeby wysuszyć ubrania. Sama została w mokrej halce na czas wysuszenia sukni, pozostali rozebrali się do naga.

Tunis i Rhett zebrali wyrzucone na brzeg ryby, a Thomas z suchej kory cedru rozpałił ogień.

Kiedy usiedli przy ognisku i obracali ryby na patykach, Thomas zaniósł modły do Boga za to, że oszczędził ich rodzinę i panicza.

– Żaden ze mnie panicz – obruszył się biały chłopiec. – Mam na imię Rhett.

* * *

Dziesięć dni później, kiedy Rhett wrócił do Broughton, Willa już pochowano na cmentarzu niewolników, a Mistletoe sprzedano. Plantacja ciągnęła się milami wśród podtopionych, cuchnących ryżowych upraw.

Steven Butler osobiście nadzorował brygadę naprawiającą zniszczenia głównej śluzę, podczas gdy brygada Watlinga naprawiała wewnętrzne śluzę. Mężczyźni zwozili taczkami ziemię, kobiety i dzieci sypały ją wiadrami do wyrw.

Ojciec Rhetta chodził w ubłoconych butach, nie golił się od wielu dni. Delikatne ręce miał spękane, a paznokcie połamane. Przywitał syna tymi słowami:

– Sądziłismy, że nie żyjesz. Matka cię oplakuje.

– Matka ma czułe serce.

– Gdzieś ty się podziewał?

– Wyzwolony Murzyn Thomas Bonneau ocalił mnie przed huraganem. Pomogłem więc jego rodzinie naprawić zniszczenia w obejściu.

– Twoim obowiązkiem jest pomagać własnej rodzinie.

Rhett przemilczał uwagę.

Ojciec przetarł ręką spocone czoło.

– Cały zbiór zniszczony – powiedział dalekim głosem. – Rok pracy poszedł na marne. Wade Hampton proponował, żebym ubiegał się o stanowisko gubernatora, ale w tej sytuacji... – Steven Butler spojrział w nieubłagane oczy syna. – Synu, nauczyłeś się czegoś z losu słuzowego?

– Tak, ojcze.

– Pokory? Posłuszeństwa? Szacunku należnego władzy?

– Często słyszałem od ciebie, ojcze, że wiedza to potęga. Przyjmuję ten wniosek.

Mimo pilnych obowiązków w Broughton jeszcze w tym tygodniu Steven Butler odwiózł syna do Charlestonu, żeby zaczął pobierać wykształcenie właściwe dla dżentelmena z Niziny Nadmorskiej.

* * *

Cathecarte Puryear był w Charlestonie najbardziej rzucającym się w oczy intelektualistą. Miasto szczyliło się nim jak jakąś osobliwością – dwugłowym cielęciem lub gadającą kaczką. Podczas studiów na Uniwersytecie Wirginii mieszkał na stacji po sąsiedzku z Edgarem Poe, a jak powszechnie wiadomo, zamiłowanie do poezji jest zaraźliwe.

Po jego kontrowersyjnych esejach w „Southern Literary Messenger” dwukrotnie wyzвано go na pojedynek, wyzwania przyjął, ale w obu przypadkach, uprzednio oświadczwszy, że sprawy honorowe „wymyślili chorzy na umyśle dla podobnych sobie”, strzelał w powietrze. Już nigdy potem nikt go nie wyzwał. Bo cóż to za honor, a może raczej dyshonor, wyzwąć na pojedynek człowieka, który nie odpowiada ogniem.

Cathecarte był prezesem Towarzystwa Świętej Cecylii, które patronowało koncertom muzyki poważnej i najpopularniejszym balom w mieście. Do grona intelektualistów Charlestonu należeli przede wszystkim przedstawiciele kleru lub palestry, jak chociażby Louis Petigru z Unii, z tym, że za sprawą pokaźnego majątku po żonie nieboszczce Cathecarte Puryear nigdy nie musiał zarabiać na życie. Kształcił dobrze urodzonych młodych ludzi, bo, jak lubił mawiać, *noblesse oblige*.

Eleanor Baldwin Puryear (zm. 1836) stanowiła ulubiony podmiot liryczny poety. Filistrowie twierdzili, że pokaźny spadek po Eleanor w zamian za jej literackie unieśmiertelnienie trafił mu się jak ślepej kurze ziarno.

* * *

Znużony, zatroskany Steven Butler tak przedstawił swojego syna przyszłemu nauczycielowi:

– Mój pierworodny to bystry chłopak, ale czupurny. Nie słucha moich rozkazów, podważa hierarchię rangi i rasy obowiązującą w naszym społeczeństwie. Chociaż czyta, pisze i rachuje, żaden dżentelmen nie uznałby go za przedstawiciela naszej sfery.

Cathecarte nie szczędził zachęty.

– Umysł każdego młodzieńca to *tabula rasa*, łaskawy panie. Możemy wpisać na tej czystej tablicy, co tylko sobie życzymy.

Steven uśmiechnął się smętnie.

– Zobaczymy zatem?

Po wyjściu ojca nauczyciel zaprosił syna:

– Siadaj, młody człowieku, siadajże, bo miotasz się jak zwierzę w klatce. – I zaraz dodał: – U jakiegoż to słynnego generała uczył się Arystoteles? Odmień *amare* przez przypadki. Który król angielski nastał po Karolu Pierwszym? Wyjaśnij mi, proszę, doktrynę rozdziału władzy. Wyrecytuj *Kruka* Poego i *La Belle Dame sans Merci* Keatsa.

Kiedy cisza stała się nie do zniesienia, Puryear się uśmiechnął.

– Najwyraźniej wiem o wielu rzeczach, o których ty nie wiesz. W takim razie co wiesz?

Rhett się wyprostował.

– Wiem, dlaczego służy robi się z cyprysu. Panuje powszechna opinia, że samica aligatora zjada własne młode, ale to nieprawda, bo tylko nosi je w pysku. Szamani robią cztery różne lekarstwa z bielunia dziedzierzawy. Nory piżmoszczurów zawsze mają jedno wejście pod wodą.

– Jesteś przyrodnikiem? – spytał Cathecarte Puryear, mrugając oczami.

Chłopiec odrzucił tę możliwość.

– Nie, panie. Jestem buntownikiem.

* * *

Po rozmowie z Cathecarte'em Puryearem Rhett Butler wszedł po stromych schodach do dusznego narożnego pokoju z widokiem na port w Charlestonie.

Na niepościelonym łóżku leżały porozrzucane brudne ubrania, a na poduszce drugiego wypucowane na glans buty do jazdy konnej.

Rhett rozpakował sakwojaż, zzuł i cisnął buty na podłogę, usiadł przy oknie, patrząc na port. Ile tu statków. Jaki rozległy jest ten świat. Ciekawe, czy kiedykolwiek uda mu się coś w nim zwojować.

Pół godziny później wbiegł z tupotem po schodach jego współlokator. Był to mizernej postury młodzieniec, o długich palcach, którymi odgarniał nerwowo blond włosy z czoła. Podniósł swoje buty i obejrzał je podejrzliwie.

– Domyślam się, że jesteś Butler.

– A ty?

Chłopak się wyprężył.

– Andrew Ravel. I co ty na to?

– Nic. Bo niby co?

– Dobrze to przemyśl.

Kiedy Andrew nastawił pięści, Rhett zadał mu cios w brzuch. Chłopak zwinął się na łóżku, z trudem łapiąc oddech.

– Przesadziłeś – wysapał. – Nie miałeś prawa.

– Chciałeś mnie uderzyć.

– Może i chciałem. – Andrew Ravel uśmiechnął się niewinnie jak aniołek.
– A może nie.

W ciągu najbliższych miesięcy Rhett zrozumiał, jaki był przedtem samotny.

Andrew Ravel był typowym mieszczuchem. Rhett nigdy natomiast nie mieszkał w pobliżu migoczących latarni gazowych. Rhett kierował się w życiu rozumem, Andrew był marzycielem. Zdumiewała go obojętność Rhetta na pozycję społeczną: „Rhett, nikt nie dziękuje służącemu za to, że mu służy, bo to jego racja bytu”.

Rhett celował w matematyce, Andrew zaś lubił chwalić się przyjacielem, prosząc go przy kolegach o dodawanie dużych liczb w głowie. Rhett nie wiedział, skąd ma tę zdolność, ale po prostu miał.

Andrew był słabym uczniem, dlatego Rhett podciągał go w nauce.

Do grona uczniów Cathecarte’a należał również Henry Kershaw, potężny siedemnastolatek, który wieczorami hulał po mieście, rodzony syn Cathecarte’a, Edgar Allan, akolita Henry’ego Kershaw, a także John Haynes, dziedzic Towarzystwa Przewozowego Haynesa. Jego ojciec, Congress Haynes, popierał metody pedagogiczne Cathecarte’a Puryeara, lecz już nie jego zdrowy rozsądek. Dlatego syn Congressa mieszkał w domu.

Gdy noc studziła wielkie portowe miasto, Rhett i Andrew siadali na parapecie okna w dormitorium i prowadzili dyskusje na temat obowiązku, honoru i miłości, albowiem każdy młody człowiek musi się z tymi wielkimi kwestiami zmierzyć.

Rhett nie rozumiał humorów, które czasem napadały Andrew. Na ogół chłopak przejawiał wręcz brawurową odwagę, czasem jednak drobiazgi wytrącały go z równowagi.

– Przecież Cathecarte wszystkich traktuje z góry – tłumaczył mu cierpliwie Rhett. – Nie zwracaj na niego uwagi.

Ani logiczną argumentacją, ani dowcipem nie potrafił wyciągnąć przyjaciela z rozpacz, ale przesiadywał z nim bez słowa w najmroczniejszych chwilach, widząc,

że jego obecność pomaga.

* * *

Chociaż Cathecarte Puryear urągał „filisterskim plantatorom”, nigdy nie podważał tradycji Charlestonu, według której młodzi dżentelmeni mogli wyszumieć się do woli, dopóki nie wejdą w związek małżeński. Ojciec Andrew, pułkownik Jack Ravel, zaznajomił Rhetta z trunkami, a także w piętnaste urodziny zaprowadził chłopca do burdelu panny Polly.

Kiedy Rhett zszedł na dół, stary Jack wyszczerzył zęby.

– I jak, paniczku? Co sądzisz o miłości?

– O miłości? Czyżby tak się to nazywało?

Po trzech latach nauki u Cathecarte’a Puryeara Rhett opanował arytmetykę, czytanie po łacinie (ze słownikiem), poznał imiona wszystkich angielskich monarchów, poczynawszy od króla Alfreda, kaprysy najpiękniejszych prostytutek Charlestonu oraz zapamiętał, że strit nigdy, przenigdy nie bije pokera.

Kiedy Senat Stanów Zjednoczonych rozważał aneksję Teksasu, Cathecarte Puryear w tym samym roku opublikował swój osławiony list. Nie pojmowano, dlaczego koniecznie musiał przedstawić swoje zdanie. Jedni powiadali, że pozazdrościł rosnącej sławy pocie Henry’emu Timrodowi. Inni twierdzili, że na tej decyzji zażyło odrzucenie wierszy Cathecarte’a przez dziennik „Charleston Mercury”, w którym następnie opublikowano jego ordynarny list (opatrzone zamieszczonym w nawiasach odcieniem się redakcji od zawartych w nim poglądów).

– Unieważnienie – pisał Cathecarte Puryear – to zdumiewające szaleństwo, a zwolennicy unieważnienia są beztroskimi durniami. Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach uwierzy, że rząd Unii zezwoli klice tak zwanych dżentelmenów z Karoliny zdecydować, których praw federalnych godzą się przestrzegać, a których nie? Niektórzy z tych dżentelmenów powtarzają między sobą szeptem budzące postrach słowo „secesja”. Ufam, że gdy niejaki Steven Butler z gronem przyjaciół wreszcie popełni samobójstwo, uczynią to na osobności, nie wciągając pozostałych z nas w swoje szaleństwo.

Chociaż ojciec Rhetta nie mógł wyzwąć Cathecarte’a Puryeara na pojedynek – „ten szubrawiec zakpił sobie z kodeksu honorowego” – mógł zabrać syna spod kurateli Puryeara, co też uczynił.

Kiedy jechali powozem King Street, Steven powiedział synowi:

– Senator Wade Hampton zatrudnił nauczyciela dla swoich dzieci. Postanowiłem, że ten człowiek będzie uczył i ciebie. – Zmierzył Rhetta nieufnie wzrokiem. – Mam nadzieję, że nie zdążyłeś się zarazić zdradzieckimi poglądami Puryeara.

Rhett przyjrzał się zgorzkniałej, zagniewanej minie ojca i pomyślał – pragnie

wychować mnie na człowieka swojego pokroju. Wyskoczył z powozu, dał nura za furgon browarza, i znikł w czeluściach ulicy.

* * *

Thomas Bonneau odłożył sieć, którą naprawiał.

– Co tu robisz, chłopcze?

Rhett uśmiechnął się niepewnie.

– Liczyłem na życzliwe przyjęcie.

– A tu nic z tego. Boś się wpakował w kabałę.

Z dworu wszedł Tunis z kieliskami w ręce. W drugiej trzymał *Kompana żeglarza*.

Zrozpaczony Rhett wypalił:

– W tej książce błędnie przedstawiono takielunek kecza.

Tunis postawił oczy w słupek.

– Tato, panicz Butler pewno chce powiedzieć, że jest żeglarzem. Rozumiesz?

Rhett miał na sobie krótką granatową kurtkę, a pod nią płócienną koszulę, spodnie zaś tak obcisłe, że nie śmiałyby ręką sięgnąć palców nóg.

Ojciec i syn Bonneau byli boso, a Tunis związał sobie brudne parciane spodnie sznurkiem.

– Nie mam dokąd pójść – oznajmił cicho Rhett.

Tunis długo przyglądał się Rhettowi, po czym parsknął śmiechem.

– Ta książka kosztowała mnie osiem buszli ostryg, a panicz twierdzi, że ma błędy.

Thomas Bonneau wzdął policzki, by zaraz wypuścić kłęb powietrza.

– Pewnikiem jeszcze pożałuję, ale siadaj, nauczę cię naprawiać sieć.

* * *

Obaj Bonneau przeczesywali brzeg w poszukiwaniu ostryg przy Wyspie Morrisa i łowili ryby nieopodal Wyspy Sullivana. Rhett wstawał z nimi wiele godzin przed świtem, razem pracowali, śmiali się, a którejś pamiętnej niedzieli, kiedy Thomas wraz z żoną i młodszymi dziećmi poszedł do kościoła, Rhett popłynął z Tunisem skifem aż do Beaufort.

Nie przypuszczał, że można zaznać tyle szczęścia.

Wszyscy Murzyni znad rzeki Ashley wiedzieli o białym przybranym synu Thomasa Bonneau, ale Steven Butler dopiero po trzynastu tygodniach poznał miejsce pobytu syna. Nazajutrz do chwiejnego pomostu Bonneau przybiła krypa z Broughton.

Steven Butler stanął groźnie nad Thomasem Bonneau.

– Wielu legislatorów chciałoby wydalić z Karoliny wyzwolonych Murzynów albo przywrócić ich do niewolnictwa. Ja również podzielam ten pogląd. Jeżeli jeszcze raz wmieszasz się w moje rodzinne sprawy, przysięgam, że ty, twoja żona i twoje dzieci będą harowały pod batem Watlinga.

Podczas długiego rejsu w górę rzeki do Broughton Steven Butler nie odzywał się do syna, a po przypłynięciu na miejsce oddał go w ręce Izajasza Watlinga.

– Traktuj go jak każdego parobka do ryżu. Gdyby uciekał albo nie słuchał, daj mu posmakować batoga.

Watling przydzielił Rhettowi chatę w murzyńskich czworakach. Siennik roił się od pcheł.

Teren uprawy osuszono przed dwoma tygodniami i ryż wyrósł jak marzenie. Pierwszego ranka w polu było tak gęsto od gzów i komarów, że Rhett połykał je chmarami. Dwadzieścia minut po wschodzie słońca z gorącą zaschło mu w ustach.

Stojąc po uda w błocie, gracował tak daleko, jak mógł sięgnąć ręką, a potem wyjmował nogę za nogą i przechodził na następne stanowisko.

Z grobli przyglądał się Shadrach Watling, zwałisty mężczyzna na zwałistym koniu.

O północy brygada zrobiła sobie przerwę na fasolę z mamałygą jedzoną z jednego garnka. Ponieważ Rhett nie miał miski ani łyżki, musiał poczekać, aż ktoś skończy, żeby od niego pożyczyć.

Pierwszego dnia dochodziło do trzydziestu pięciu stopni, toteż Rhettowi zaczęły migać przed oczami czerwone i fioletowe plamy.

Zwyczajowo po wykonaniu normy parobek miał czas dla siebie. O trzeciej z pola zeszli co silniejsi mężczyźni, a o piątej pracowały już tylko dwie kobiety w średnim wieku i Rhett. Kiedy Rhett skończył o pół do dziewiątej swoją działkę, był już w polu sam z Shadem Watlingiem.

– Uważaj na węże – ostrzegł go Shad z uśmiechem. – W zeszłym tygodniu na tym zagonie straciliśmy jednego Murzyna.

Obłąd pracy, jedzenia i znów pracy na przemian przerywały tylko krótkie okresy niespokojnego snu. Kiedy w końcu spotkał mokasy na błotnym, patrzył obojętnym wzrokiem, jak wąż przemyka mu między bosymi nogami.

Ekonom Watling objeżdżał wszystkie swoje brygady na wysokim, kościstym mule. Rękojeść batoga przytroczonego do siodła aż mu spłowiła od potu.

Mimo upału ekonom miał na sobie czarny surdut i koszulę zapiętą pod szyję. Słomkowy kapelusz z szerokim rondem kleił się do krótko ostrzyżonej głowy.

W sobotę w porze obiadowej wezwał Rhetta.

Watling miał duże uszy, duży nos, długie ręce, wielkie dłonie, twarz pobrużdżoną zmarszczkami od harówki i goryczy.

Spojrzał jasnymi, pustymi oczami na Rhetta.

– Kiedy zbankrutowałem i przyjechałem do Broughton, wiele zniw temu, już wtedy byłeś krnąbrnym dzieckiem, ale wierzyłem, że jest dla ciebie nadzieja. Napisało, że przez nasze udręki któregoś dnia powstanjemy. Paniczu Butler – dodał, spinając muła – nadejdzie jeszcze nasz dzień.

W drugim tygodniu Rhett nie ustępował tempem pracy starszym kobietom, a trzeciego nadążał za dziesięcioletnimi Murzynami.

Wieczorem walił się na kłoc do rąbania na podwórku. Chociaż wieść niosła, że Murzyni z Broughton od niego stronią, podsuwali mu jedzenie ze swoich lichych zapasów.

We wrześniu młody Rhett Butler został parobkiem na polach ryżowych plantacji Broughton.

* * *

Kiedy delegaci z Karoliny wsiadali na szkuner płynący do Baltimore na konwencję Partii Demokratycznej, senator Wade Hampton wziął Stevena Butlera na stronę, aby go wypytać, czy to prawda, że jego syn pracuje z Murzynami przy uprawie ryżu.

– Mój syn wymaga zdyscyplinowania.

Wade Hampton był olbrzymem, właścicielem trzech i pół tysiąca niewolników. Zrobił niezadowoloną minę.

Wyjaśnił Butlerowi, że Partia Demokratyczna nie może sobie pozwolić na skandal.

– Powtarzam, mój syn wymaga zdyscyplinowania.

Wówczas senator załatwił Rhettowi przyjęcie do Akademii Wojskowej w West Point.

Kiedy wieczorem Izajasz Watling zajechał na teren czworaków, Rhett Butler siedział po turecku na progu chaty i patrzył, jak ryżojady kołują nad rzeką.

Izajasz zsiadł z konia.

– Pan Butler wzywa panicza do miasta – powiedział. – Łódź czeka już przy pomoście. – A po chwili dodał: – Jak na białego, całkiem kławy był z panicza murzyn.

W Charlestonie Rhett wykapał się i ogolił. Dopasowano mu nowe ubranie na miarę jego nowej muskulatury. Zanim zagoiły się wszystkie ślady po ukąszeniach owadów, Rhett już wsiadał na pokład szkunera zmierzającego na północ.

Młody Rhett stał przy relingu, kiedy szkuner wypływał z portu charlestońskiego. Powinien cieszyć się czekającą go perspektywą, ale się nie cieszył. Nie czuł się dobrze w ubraniu dżentelmena. Fort Sumter ginął w oczach, aż stał się tylko kropką na szarym oceanie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).